

# Bronisław Gubrynowicz

---

## Nieznany urywek z Kaz. Brodzińskiego "Wspomnienia mojej młodości"

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 4/1/4, 74-83

---

1905

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.



## MATERIAŁY.

### Nieznany urywek z Kaz. Brodzińskiego „Wspomnienia mojej młodości“.

Lat temu kilka doczekały się »Wspomnienia« Brodzińskiego starannej edycji, dokonanej przez prof. J. Tretiaka. W przedmowie wypowiedział wydawca domysł, iż prawdopodobnie kryją się jeszcze niewydane części tychże wspomnień; wprawdzie przeciw temu przypuszczeniu zdawało się świadectwo samego autora przemawiać, który w spisie swych prac przy »Wspomnieniach« dodał przypisek: urywek, okazało się jednakże, iż rzeczywiście pozostały jeszcze niewydane do tej pory fragmenty. Mieściły się one w jednej z bibliotek warszawskich, w rękopisie p. t. »Kopia wierzytelna własnoręcznego rękopisu Karola (przekreśl. i dopisano Kazimierza) Brodzińskiego, noszącego tytuł: Wspomnienia mojej młodości. — To zostawuję mojej córce Karolinie«.

Pierwsza część tychże fragmentów łączy się ściśle z drukowanym tekstem, dalsze jednak urywki nie stanowią całości organicznej. Niewiadomo, czy uwaga podana w tekście, iż następuje przerwa w pamiętnikach z przyczyny zatraconej ich znacznej części, pochodzi od Brodzińskiego. Dwa ustępy, poświęcone pamięci ks. Ksaw. Szaniawskiego i J. Kolberga, wydrukował już K. Wł. Wójcicki w »Cmentarzu powązkowskim« (t. II. str. 11—12., t. III. str. 224—6). Same wspomnienia nie wymagają objaśnień, zauważyć jedynie należy, iż tekst nie jest całkiem poprawny.

*Bronisław Gubrynowicz.*

## Książka II.

Wędrownica nasza była dość niebezpieczną. Zapewniano nas, że korpus obserwacyjny Galicyzna, który wówczas ciągnął niezmiernie powoli przez Galicyę miał udział w chwytniu zbiegów do wojska polskiego. Omijaliśmy więc starannie wszelkie przewłóczące się kommandy. Wstąpiliśmy do jednego obywatela, gdzieśmy zastali same kobiety. Posiliły nas i żałowały, szczególnie Niemierzyca, który obok mnie był malutki i jeszcze szczuplejszy. Nagle dano znać, iż kozacy wpadli na podwórze. My naturalnie uprzedzeniśmy byli, że to za nami. Wspólnie więc z damami schowaliśmy się w różne kąty, żartując z tych najpierwszych dowodów naszej rycerskiej odwagi. Dalsza podróż odbywała się wszędzie pomyślnie. Obywatele i wieśniacy sami wzwyczajeni już byli w podobne przechody, mieli sposoby ułatwiania podróży i czynili to z wszelką patriotyczną gorliwością. Blisko jednak granicy, w miejscu, które nam za najbezpieczniejsze wskazano, zostaliśmy schwytni przez kommandę weteranów austriackich, którzy, wyśmiewszy nas do woli, przez jednego tylko żołnierza z bronią odesłali do kommandy. Trzeba wiedzieć, że istotnie ogłoszony był dekret wieszania tych, którzy tajemnie granicę przebywają, lubo, ile mi wiadomo, do żadnej podobnej egzekucji nie przyszło. Zatem przestrah nasz był niemały. Dwaj młodzieńcy, mający cokolwiek więcej żołnierskiego ducha niż tylko poetycznego uniesienia ku służeniu ojczyźnie, byliby pewno znaleźli sposób pozbycia się jednego żołnierza; nie związano nas, jak to czyniono w podobnych przypadkach, bo obadwaj byliśmy dobrze kulawi od spiesznej i dalekiej drogi, której my nie nawykli. Lecz tenże nad wszelkie spodziewanie sam podał nam ratunek. Przechodząc z nami przez lasek brzożowy, opuścił swój karabin, a długo wpatrując się nam w oczy, rzekł nakoniec: »Wy sem wielkiej krywdy Cesarowi nie zrobicie«. Nie zrozumieliśmy do czego to dąży, aż gdy nas spytał czy mamy wiele pieniędzy. Mój towarzysz miał przeszło dwieście ryńskich, ja kilkanaście, bo o czterech dukatach zamileżałem. Kazał je sobie złożyć, cośmy natychmiast uczynili. Odrachował i po cztery ryńskie obudwóm oddał, resztę z zimną krwią do kieszeni chowając, powtórzył: »Wy sem Cesarowi krywdi nie zrobicie; możecie pójść do czorta!«. Rzuciliśmy się jak dzieci na szyję tak szlachetnemu wybawcy, ściskając go serdecznie. Pokazał nam drogę, którądy bezpiecznie przejść możemy granicę i życzył najlepszego powodzenia! Jakoż dostaliśmy się na ziemię sandomirską przez Polaków zajętą, którąśmy jak dzicy ludzie całowali z radości. Poniżenie nasze przez tego żołnierza było wielkie, którego moc dopierośmy uczuli, gdyżśmy bezpiecznie już do spoczynku się kładli. Straty pieniędzy wcaleśmy nie żałowali. Nie wiem czy ten żołnierz przez względnego kommandanta miał zlecenie nas puścić, bo ciężko, aby się nie bał kary za swój postępek.

Doszła nas wiadomość, iż w tym właśnie czasie nastąpiło zawieszenie broni, że wojsko polskie zwycięzko w swoim pochodzie do Krakowa weszło i gdyby nie to zawieszenie przez Napoleona zrobione, całą

Galicyę zająciby mogło. Ruszyliśmy więc do Krakowa i po drodze znaleźliśmy łatwo sposobność jechania, gdy zewsząd młodzież, obywatele a nawet kobiety, wszystko radością upojone, tamże ciągnęło.

Jak ja się czułem szczęśliwy od więzów nauczania się, tak wszystko widziałem koło siebie szczęśliwe wyswobodzeniem z pod obcej przemocy i nadzieją świetnej Polski przyszłości. Rozliczne dowcipy przeciw Niemcom, powiastki o różnych dowodach waleczności wojska a więcej jeszcze o cudach Napoleona nad Dunajem, każdy nieznamy, jako towarzysz minionych dni więzienia, ściskany, tłumna wesołość, otwartość, równość stanów jednym tylko uczuciem zajętych, wszystkie te cechy ludu odmłodzonego i naszą młodość upoiły szczęściem nieporównanem. Bawiono się i częstowano nietylko po dworach ale w karczmach i na gościńcu; obywatele przed wojskowymi i niewojskowymi z puzder dobywali butelek, wykrzykując: Niech żyje Ojczyzna! Każdy miał jakąś wiadomość pomysłną a ta była powodem nowego zdrowia, nowych uścisków. My nowicyusze w tem wszystkim wkładaliśmy się, jak mogli, by się także jakimś słówkiem odznaczyć i swoje uczucia dać poznać.

Wszedłszy do Krakowa odurzeniśmy zostali wesołym zgiełkiem ludu wszelkiego stanu po ulicach. Cały rynek zajęty przez wojsko na nim obozujące, damy, oficerowie, prości żołnierze, bogaci kupcy, szlachta, chłopcy, wszystko cieszyło się wzajemnym siebie widokiem zachwycone, bo się Polakami widzieli; obok nich kosze z winem i wędliny na serwetach rozłożone, znajomi i wojskowi zapraszani, raczyli się wznosząc zawsze okrzyki: Niech żyje Polska! Napoleon Wielki, Xiążę Józef! Żołnierze rozłożeni byli w budach zwykle dawniej na jarmarki przyrządzanych, mając do sytu przynoszonej żywności i trunków. Obok starych oficerów, na których było znać trudy wojenne, wyszarżane mundury i rzadkie na ówczas krzyże polskie lub legii honorowej, tyleż jeżeli nie więcej widzieć można było nowych rycerzy, w rozmaitych mundurach a nawet zdala słyszeć ich było po brzęku długo rozpuszczonych szabel. W oknach rynku wszędzie widać było oficerów i żołnierzy młodych i starych, matrony i dziewice, wszystko w rodzinnej poufałości i weselu. Cały ten zajmujący obraz miał tylko widok wojska rosyjskiego, które, jak wiadomo, starało się w tej samej chwili wejść do Krakowa od Podgórze, w który zwycięzcy Polacy od Kleparza weszli.

Polacy mieli swój główny odwach w ratuszu, oni obok ku kościołowi Panny Maryi. Zaciągowi na wartę przypatrywał się tłum ludu, zmianie zaś straży moskiewskiej chłopcy uliczni podrzeźniali. Sztynność i niewola żołnierza carskiego, dziwnie odbijała od swobodnej wesołości naszych żołnierzy. Cel przybycia tych gości nieproszonych, ani przyjaciół ni nieprzyjaciół, w chwili wylania się patryotycznego był dla ludu niepojętym. Zaczepki żołnierzy, wyzywania między oficerami wojsk obudwu były cogodzinne. Atoli Xiążę Józef przez pełne grzeczności obejście się z młodym Suwarowem, z umysłu publiczności okazywane, potrafił utrzymać potrzebną harmonię, bo w tym szale uczuć narodowej

wolności żadne rozkazy i policya nie mogłyby były nieprzyzwoitościom zapobiedz.

Spotykaliśmy wielu naszych kolegów i znajomych częścią już od r. 1806. w wojsku będących, częścią świeżo przed nami przybyłych, wielu, co jeszcze sobie pułków nie wybrali lub nie mogli się doczekać munduru. Strwożeni zostaliśmy wieścią, że dla natłoku roslejszych, może już przyjęci nie będziemy. Nakoniec dowiedziałem się, iż Reklewski Wincenty, niegdyś spółce brata w akademii Krakowskiej, który w roku 1806. wszedł do wojska, kommanderuje kompanią artylleryi. Znałem go nieco, a więcej jeszcze mój towarzysz, jako Sandomierzanina i sąsiada swojego. Nie wiele się namyślając udaliśmy się do niego z oświadczeniem, iż pod jego rozkazami pragniemy służyć ojczyźnie. Pojrzał na nas, na pół z uśmiechem, na pół z litością, co bardzo nasz entuzjazm osłabiło. Nakoniec spytał czy umiemy pić wódkę, żyda za brodę targać i coś trzeciego. Reklewski nie miał wtedy jak lat 26, czerstwej twarzy sarmackiej, rumianej, oczu pełnych życia a przy zapale rycerskim malowała się na czole jego niewypowiedziana dobroć i szlachetność duszy. Upojony był wtedy szczęściem, jakiego tylko polski młodzieniec osiągnąć może, bo walczył zwyciężko w Sandomierzu, w ziemi swojej rodzinnej, bo wszedł do Krakowa, w którym zawsze o wyba-wieniu go marzył, bo razem i krzyżem kawalerskim i stopniem kapitana artylleryi zaszczycony został i tak go rodzice i siostry do Krakowa witac przybyły. Żart powyższy, który nam się zdał niewczesnym, był tylko wyrazem tonu podówczas, bo Reklewski, aż nadto był znany z dziewiczej swojej skromności i łagodnego obejścia się z ludźmi. Wśród rozmowy przysunął się do nas sędziwy, w kontuszu, ojciec jego i zawołał: zapisz ich kapitanie, rozrosną się w obozie a przez dwa miesiące zawieszenia broni poduczysz ich nabijania armaty. Stało się tak, iż nas zapisano i pozwolono sprawić mundur artylleryi.

Szczęśliwi i dumni po uczynieniu tak ważnego kroku i chcąc się polskim zwyczajem z tego powodu uraczyć, poszliśmy do cukierni, dla nabrania, jak mówią, fantazyi, ale miło mi wspomnieć, jak mało jeszcze obudwu zepsucie doszło, gdyśmy nie co innego jak po kilka szklanek orszady wypili, napój, który ja, prawdę mówiąc, pierwszy raz kosztowałem.

Otrzymałmśmy kwaterę razem z trzema starymi żołnierzami od tyłu w izdebce ciemnej i wilgotnej, o jakie w Krakowie nie trudno. Z początku znosić musieliśmy żarty i przymówki żołnierzy, którzy nie wiele mieli względu dla nas, nie dla tego żeśmy byli rekruci, ale że studenci, nie zdolni tornistra udźwignąć. Nasza łagodność, poszanowanie dla ich zasług, łatwo nam ich zjednały, żeśmy mieli w nich doradców i nauczycielów w nowym naszym zawodzie. Ten początek zawodu naszego zachmurzył się nieco wypadkiem nieprzyjemnym, gdy jeden z ochotników, z nami na kwaterze stojący, ogołocił nas i spółżołnierzy naszych z lichych zasobów. Schwytny, karany był według zwyczaju trzewikami przez wszystkich żołnierzy. Po ukończeniu tak nowego dla nas obrzędu, sierżant, który nim dyrygował, miał mowę do całej kompanii przeciw kradzieży a zwracając szczególnie do nas nowo zaciężnych

swą mowę, ostrzegł, że wszyscy tak karani będą w razie przestępstwa, dodając z ironią, choćby szlachta albo studenci. W kilka dni potem wypadła dla nas kwatery w domu publicznych kobiet, który wtedy przy natłoku wojsk polskich i rosyjskich jedyny był na cały Kraków i który dzień i noc odwiedzany był najwięcej od pijanych gości. Przy jednym wejściu jedne tylko drzwi nas dzieliły od miejsca bezcelestwa. Obrzydliwość sama była ratunkiem naszej niewinności, i te nieszczęśliwe kobiety uważały nas jak dzieci, nie pozwalając sobie nawet żartów z tego, że w mundurach naszych i przy pałaszach wcale nie chcieliśmy za dzieci uchodzić. Z miejsca zepsucia nie tylko uszliśmy szczęśliwie ale i wstręt na zawsze uczuli od miejsc podobnych.

W tym jednak domu napisałem szumną odę na dzień imienin Napoleona<sup>1)</sup>, które w Warszawie najuroczyściej obchodzono; nie tyle szczęśliwy z tego, że pierwszy raz moje wiersze drukowałem, ile że dla wiadomości wszystkich moich znajomych mogłem się podpisać k a n o n i e r. Z tej ody tę miałem korzyść, że brat mój Andrzej, któremu w ręce wpadła, dowiedział się o mojem wejściu do wojska i listem uwiadomił, że równie wszedł ze Lwowa do 16-go pułku piechoty i stoi w Wawrzeńczycach, w wiosce niedaleko Krakowa. W tej chwili udałem się do kapitana z prośbą o urlop i biegłem wypytywać się wszędzie po drodze, gdzie Wawrzeńczyce, gdzie pułk 16-ty?

### (Przerwa w pamiętnikach z przyczyny zatraconej ich znacznej części).

Dalszy ciąg.

#### X. Xawery Szaniawski.

Przyjaciele nie mieli co zanieść do grobu.	Był to mały, szczupły staruszek, znany w Warszawie ludziom każdego stanu i wieku, skrzętny jak pszczołka, z równem zajęciem spieszył na prelekcję kodexu, tam na śmierć dysponować, tu dzieciom zanieść cukierków, na radę familijną, na sessyą uczonych, tam ochrzcić dziecię ministra, tu dawać ślub wyrobnikowi, tam artykuł do gazet. Znał stosunki familijne połowy miasta a jako duchowny i prawnik wszędzie był pożądanym doradcą. Towarzyski, rad był z wszystkimi dzielić tak zabawy jak i frasunki. Wszędzie apostołował świętość małżeństwa, najwięcej się przywiązywał do domów gdzie wiele dzieci. Po kursie lub kazaniu nie minął domu, gdzie mógł, jak mówił, choć na chwilę rozerwać się z dziećmi. Kochajmy się, pracujmy i bądźmy weseli, nie przestawał wykrzykiwać tak z ambony jak przy stole przyjaciół i ludzie żartobliwi
---	---

<sup>1)</sup> Pamięć tutaj zawiodła Brodzińskiego, napisał bowiem »Odę na dzień urodzin Napoleona, dnia 15 sierpnia 1809 roku w Krakowie«. Pod poematem jest podpis: Kazimierz Brodziński od Artylleryi. (P. w.).

nazywali go wyrazem: kochajmy się. We wszystkim co czynił znalazł źródło zabawy: zdaje się, że niezliczone swoje zatrudnienia różnej wagi, uważał, jak dziecię, za zabawę i ciekawe zajęcie umysłu. Gdy skończył kazanie na otwarcie sejmu, czekała go już bryczulka, na której spieszył z innym kazaniem na odpust wiejski, o parę mil zaproszony od ubogiego plebana. Podczas jubileuszu w Warszawie miewał kazania we wszystkich kościołach. Raz koło czwartej popołudniu powitał mnie, mówiąc: Zobaczmy się niedługo, bo już dziś jedno mam tylko kazanie. We wszystkich czynnościach swoich tak był punktualny, że gdy w sześćdziesiątym przeszło wieku podróż do Rzymu przedsięwziął, prosto z lekcji w Uniwersytecie siadł do pojazdu i w sam dzień otwarcia kursów powrócił. Kupił był bardzo skromny domek z ogródkiem na przedmieściu Warszawy. Tam wstając najraniej gotował się do dziennych obowiązków. Na wieczór spraszał przyjaciół prawie codziennie, dobierając stosownie ludzi różnych humorów i stanów, a najwięcej dzieci. Po śmierci zmarłego w więzieniu, jako więźnia stanu, X. Dembka, jako exekutor jego testamentu miał u siebie złożone po nim kilkanaście tysięcy. Te niewiadomym sposobem zginęły. Mimo mocnych poszlaków, nie śmiał służącego badać ani oddać i dwom tylko przyjaciołom ten wypadek objawivszy, sprzedał ulubiony ogródek na pokrycie tej straty, resztę, najskromniej żyć poczynawszy, z pensyi oszczędził. Miał także wioskę w dzierżawie o kilka mil od Warszawy, jedynie dla zabawy przyjaciół i dobrych uczynków. Piękny ogród, ryby w stawie, owoce w ogrodzie zwabiały tam na zabawy familie z dziećmi. Założył zaraz szkółkę dzieci wiejskich, w której i sam, ile razy przybył, nauczał.

### (Przerwa w pamiętnikach)

W Warszawie wystąpiłem najpierwej z elegią, na wprowadzenie zwłok X-cia Poniatowskiego, którą na dzień tego smutnego obrzędu dałem do druku. Nadspodziewane powodzenie tej poezyi winienem więcej powszechnemu wówczas uczuciu publiczności, aniżeli mojemu talentowi. Mieszkańcy Warszawy ze łzami spieszyli za rogatki powitać szczątki nieszczęśliwych rycerzów, zwłoki wodza swojego prowadzących. W kościele i po ulicach widziałem egzemplarze mojej elegii w rękę mężczyzn i niewiast średniej klasy, co bardzo mojej próżności pochlebiało. Jednakże czuć mi się dała nadętość mojej pracy, skoro na tymże obrzędzie, kazanie Woronicza słyszałem. Płakało na tem kazaniu rycerstwo, lud i panowie, i ja rzewnie płakałem; w jednej apostrofie Woronicza widziałem stokroć więcej uczucia i poezyi, niżli w całej mojej elegii. Jednakże zachwiałem się w tej rzetelnej skromności, gdy w parę dni drukarz Dąbrowski, nietylko mi odniósł dane na druk pieniądze, ale nadto złożył mi kilka dukatów, zaznając, że nam się obudwom nadspodziewanie powiodło i że moją elegię po trzeci raz kazał odbijać. Kudlicz umiał ją całą na pamięć i gdzie tylko znalazł sposobność, z wła-

ściwem sobie czuciem i rozumieniem deklamował. Mnie zaś zakazał, abym do czytania wierszy nigdy ust nie otworzył, gdyż on najlepiej mógł czuć, jak mało miałem daru do tego. Elsner ułożył do tej poezji muzykę, a Kudlicz na jednym muzykalnym wieczorze deklamował ją przy towarzyszeniu orkiestry przed liczną publicznością. Usilnie potem zajmowaliśmy się z Elsnerem i Kurpińskim tą myślą, ażeby do zabaw wieczornych wprowadzić deklamację, o ile można z muzyką. Poezja dobrze deklamowana, w licznych zebraniach, przy towarzyszeniu muzyki, przybiera wszystkie własności, któremi czarować może, i to można uważać za najlepszy środek do jej zamiłowania w powszechności. Jakoż po kilku podobnych wieczorach wielu zaczęło smakować w poezji, tych nawet, którzy przeciw niej uprzedzeni byli. Lecz publiczność polska, u której obrazu uczuć narodowych niczem być nagrodzoną nie może, okazała jawnie swój niesmak, gdy deklamacja podobna daną była na benefis Dmuszewskiego, w tak zwanym Quodlibet, gdzie wśród wyjątków ze scen komicznych, deklamowana była elegia na zgon X-cia Poniatowskiego; odtąd podobne deklamacje zniesione zostały w wieczorach muzykalnych, później zaś surowość cenzury teatralnej i wszelkich zabaw publicznych, której duchem było żadnych narodowych wspomnień nie dopuszczając, nie dozwoliła wskrzesić tej niewinnej zabawy.

Tej okoliczności winienem poznanie Kantorberego Tymowskiego, z którym przez kilka lat najprzyjemniejsze chwile spędziłem. Równy ze mną w wieku, wyższy wychowaniem i wiadomościami, miał znakomity talent do poezji, chociaż w ocenieniu pisarzy byliśmy sobie z początku na głowę przeciwni. Cenił nadewszystko Horacyusza i nigdy o nim bez zapału nie mówił i wiele bardzo korzystałem, gdyśmy razem Horacyusza, Tybulla i Propertycyusza rozbierali, gdyśmy sobie po połowie losiem wyciągniętych elegii wierszem bezrymowym tłumaczyli. Wielbiąc wspólnie starożytnych, nie mogliśmy się względem nowych pisarzy zgodzić. T.... był nieprzepartym wielbicielem Woltera, którego ja nienawidziłem; on mało znał pisarzy niemieckich i według zwyczaju starszych literatów niemi pogardzał. Ponieważ T.... kochał lub nienawidził pisarzy zawsze o tyle, o ile się ich płody wolności religijnej lub politycznej tyczyły, stąd przywiązanie jego do Woltera, chociaż z czasem przekonał się o jego słabej, poetycznej stronie, było bardzo silne. Temi samymi przedmioty zajął go Szyller, który przez swoje poezje wcale na jego szlachetny charakter umiał wpływać. Kilka moich przekładów z Szyllera, dla niego zrobionych, tak go zajęły, że go odtąd równo z Horacyuszem czytywał, przekładał i przeciw napaściom naszych mniemanych klasyków żarliwie bronił. Dotąd był T.... anakreontem, wesółym jak Horacyusz lirykiem, lecz Szyllera poznawszy poważył się powierzać stronom wysokie i szlachetne uczucia. Ody jego o zamiłowaniu prawa narodowości i t. p. zjednały mu wysoki u młodzieży szacunek i jak dawniej wielbiono jego lekkie stołowe pieśni, które istotnie w swoim rodzaju były wyborne, tak z większym nierównie zapałem powtarzano jego pienia pełne szlachetnych uniesień. Gdy długi czas nad tłumaczeniem Wolterowskiego Mahometa pracował i przywykł do zwięzłości Horacego z deklamacyjnym stylem tragedji francuskiej nie mógł przyjść



do ładu, radziłem mu wziąć w pomoc przekład niemiecki Goethego. Odtąd zaczął T.... cenić Goethego i uwielbiać talent z jakim tenże Mahometa umiał Niemcom przyswoić. Gdyśmy potem tegoż Fausta, Goetza von Berlichingen, Ifigenię czytali, które to sztuki tyle się od Mahometa, co same od siebie różnią, otrząsaliśmy się coraz więcej z jednostronności smaku. Odtąd T.... uważał francuskich poetów więcej za ludzi, z którymi się przez zwyczajne stosunki zaznajomił anizeli za kochanych swego serca przyjaciół.

T.... był w całym znaczeniu tego wyrazu poetą. W pewnych chwilach usposobienia pisał z nadzwyczajną łatwością. Anakreontyki jego, jeżeli wszystkie będą kiedyś zebrane, stanowić będą T.... tylko właściwy rodzaj. Jest w nich wiele wynalazku i zwięzłości. Później, prawda, zbyt zawierzył swojej łatwości w wyszukiwaniu coraz nowych obrazów do myśli zawsze jednakich i zbyt starał się łacińskie przekładnie polskiej liryce przyswoić. Z niewypowiedzianą łatwością w niedługim przeciągu czasu napisał poema satyryczne na wzór Duneyady, mające za cel młodych a pełnych uprzedzenia wierszopisów. Bohaterem tego poematu jest J. M. W...<sup>1)</sup>, który naśladując P... Jais w Pustelniku z krakowskiego przedmieścia, miał nieszczęście, iż żadnego zamiłowania u czytelników zjednać sobie nie umiał.

Hojność i życie według Horacyusza były cechą T..., znał on świat, jak mówią, wielki, lecz obok tego tak prostą miał duszę, iż najlichszy trefniś mógł z niego najwyraźniej żartować i był istotnie często celem zabawy tych, którzy o jego przymiotach najmniejszego nie mieli wyobrażenia. Żywy, miły i dowcipny między ludźmi, którzy skłonnościom jego odpowiadał, stał jak sądzony w gronie tych, dla których zewnętrzny kolor był wszystkim. W sporach nie umiał placu ustąpić i aż do zaciętości bronił zdania swego. Gdy raz w mojem mieszkaniu czytaliśmy spólnie życie Woltera przez Condorseta, przyszło do takiej sprzeczki, iż wyszedł z pokoju z oświadczeniem, iż nigdy u mnie nie postanie. Szczęściem, iż w zapale wyszedł bez kapelusza i na ulicy dopiero się spostrzegł. To zdarzenie zmieniło jego humor, wrócił, uściskaliśmy się serdecznie i więcej o Wolterze nie było mowy. Tymowski uwielbiał St. Potockiego szczególnie w czasach, gdy tenże przez podstępny niewdzięcznych łaskę monarchy i ministerstwo oświecenia postradał. Mimo, iż był w Radzie Stanu wicereferendarzem, pisał śmiało poezye z tej okoliczności i objawiał zdania wbrew duchowi, jaki wprowadzać zaczęto. Nawet gdy mu powierzono cenzorstwo pism peryodycznych, umieszczał poezye własne, którychby żaden cenzor w owym czasie nie śmiał przepuścić. Nie było to z jego strony zuchwałością, lecz dusza jego cnotliwa nie była w stanie dostrzegać tak nagłej zmiany systematu rządu.

<sup>1)</sup> Gerard Maurycy Witowski (1787—1837), współpracownik »Gazety warszawskiej«, w której umieszczał szereg artykułów z podpisem Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia, wydanych następnie w r. 1818. osobno p. t. »Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia czyli charaktery ludzi i obyczajów«. Są to naśladowania a nawet wprost tłumaczenia podobnych artykułów, wychodzących w Paryżu p. t. »L'Ermite de Chaussée d' Antin par Jais«. (P. w.).

W skutku układów rodzinnych ożenił się T... przeciw własnej i swej żony skłonnościom. Był to cios dla jego talentu, a więcej jeszcze dla szczęścia domowego, do którego tyle był zdolnym, gdyby był znalazł serce swojemu odpowiadające. Przymuszony żyć z wystawnością, spraszając w dom swój najdostojniejsze w stolicy osoby, wśród świetnych zabaw zatrute mając serce niesnaskami domowymi i wydatkami, które możność jego przechodziły, stał się pastwą sztychujących gości i natręctwa dłużników. Od ożenienia jego zawarły się nasze przyjacielskie stosunki. Mimo, że T.... był zawsze dla mnie jednaki, wszelako nie śmiałem mu towarzyszyć przy wielkim świecie, jaki go zaczął otaczać. Niedługo zmuszony był oddalić się na wieś, przystąpić do rozwodu, który właśnie pozyskał. W dzisiejszych okolicznościach stracony on jest dla kraju, lecz zdolny używać szczęścia domowego w wiejskiej zaciszy, którego z serca mu życzę.

Nie znałem w życiu mojem człowieka z cichszym umysłem, pełniejszym gołębiej prostoty, jak był Juliusz Colberg. Chrystus poglądając z nieba na dusze tyle do niego się zbliżające, czuje zapewne boską, nam niepojętą roszkosz. Colberg przybył do Polski w czasie zajęcia Warszawy przez Prusaków jako geometra, a po utworzeniu Księstwa Warszawskiego wszedł w polską służbę publiczną jako człowiek zdalny i prawy. Powołany do wykładania w uniwersytecie topografii i niwelacji, żył ze mną w ścisłej przyjaźni do śmierci.

Colberg pisał wiele poezyi w języku niemieckim, największą część z peryodycznych zdarzeń, na uroczystości kościelne, rodzinne i wolnomularskie. Wszystkie tchnęły ową anielską czystością uczuć, ową tęsknotą do wyższego świata a pisarzom jak zwykle do okoliczności wielki czyniły skutek. Po słuchaniu jego poezyi śpiewanych, każdy czuł się przeniesiony w pogodne krainy; każdy czuł się w błogości i w uroczystem uniesieniu moralnem. Oczy jego łagodnym blaskiem przenikające, zwiastowały w nim poezją, której żaden język, instrument, dźwięk i pędzel wyrazić nie zdoła. Kiedym się w oczy jego wpatrywał, gdy czytał lub mówił z zapałem, utwierdzałem się zawsze w przeświadczeniu, że jest nieśmiertelna dusza w człowieku, że tu na ziemi w milionnej części nie jest w stanie objawić tego, co w niej tkwi i wkrótce pójdzie opatrzeć się w lepsze narzędzie nad nasze pięć zmysłów. W obejściu swoim miał cierpliwość, wytrwałość i łagodność obok najpowszechniejszego u Niemców uczucia sprawiedliwości (Gefühl des Rechts); żadna obmowa, obraza i namiętność nie przybyła na chwilę do tej czystej duszy.

Miłośnik poetów, szczególnie Jean Paula i Herdera mało mógł się im oddawać, zajęty pracą nad mozolnymi mapami i rachunkami. Otoczony sześciorgiem dzieci, w szczupłym pomieszkaniu między mnóstwem kart i instrumentów mierniczych, pracował cierpliwie z najśłodszą rezygnacją oderwany od poetycznej swobody, widoków natury, którą tak lubił. Wydawał mapy Królestwa Polskiego, mozolne a bardzo potrzebne dzieło: Porównanie miar i wag, ogłaszał nowe wynalazki w miernictwie. Wszystko to jak mało dochodu, tak wiele kosztowało go pracy i zdrowia, lecz

jako profesor miernictwa uważał za świętą powinność tem się zajmować. Tłumaczył niektóre poezye Karpińskiego i moje, umieszczając je w dziennikach niemieckich za granicą.

### Nieznany list Krasieńskiego do Słowackiego.

Z korespondencyi Krasieńskiego ze Słowackim, która stanowi pierwszorzędną wagę źródła dla wniknięcia w istotę stosunku łączącego obu poetów, znamy zaledwie dziesięć listów. Z ich dat i treści łatwo poznać, że całość była o wiele obszerniejsza, a wzajemna wymiana listów skrupulatna i częsta<sup>1)</sup>. Do owych dziesięciu (wydrukowanych, jak wiadomo, w Korespondencyi poety, Lwów 1887) przybywa obecnie list nowy, tworząc pod względem tendencyi i treści zupełny zespół z tamtymi. Jak wszędzie tak i tu autor »Irydiona« nie szczędzi przysłemu autorowi »Beniowskiego« ojcowskich przestróg i serdecznych rad na temat, który przy każdej sposobności poruszał i poruszać musiał: »Julu zaklinam cię, trzymaj, nakształt eolskiej harfy, duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi«... (kor. III. 9). Obok kilku drobnych szczegółów o sobie zaciekawie może w nowym liście ustęp o Napoleonie, jako wyraz kultu idei napoleońskiej w chwili tak radosnej dla wszystkich jej czcicieli, bo w przeddzień tryumfalnego powrotu zwłok Napoleona do ojczyzny, wyraz poetyczniejszy może swą prostotą, niż okolicznościowy wiersz Krasieńskiego.

List pisany 31. maja 1840 r. z Rzymu zapełnia, choć częściowo, lukę między listami z 23. lutego i 19. grudnia t. r. Autograf, z którego go podaję, pochodzi ze zbioru ś. p. Felicy z Wasilewskich Boberskiej.

\*

\*

\*

Brzmi jak następuje :

Roma 1840. 31. Maja.

Jeśli do Ciebie nie pisałem, to dlatego, że pisałem o Tobie — napisałem *krytykę* Ciebie w liście do Romana spodziewając się, że on ją obniesie po rozmaitych słuchaczach<sup>2)</sup>. Tam, co myślę o twoim duchu

<sup>1)</sup> Zob. L. Meyet. Listy Słowackiego do Krasieńskiego »Gazeta lwowska« 1902. Nr. 109—113.

<sup>2)</sup> List do Romana Załuskiego z 13. maja 1840. (kor. III. 59). — Prosił go bowiem o to: »Wy jemu to powiecie, powtórzycie«. (kor. III. 65).